

Jedni przyjechali tu dla Dziadka, inni dla Mirka, pozostałych też przyciągnęli znajomi. Każdy plener to przecież także spotkanie towarzyskie. Ten jednak, w Starym Siedlisku, jest pod tym względem imprezą zupełnie wyjątkową. Żadnych pozorów, żadnej oficjalności, statystyk, sprawozdań, biurokracji. Jedyny w Polsce całkowicie prywatny plener – z pomysłu, inicjatywy i w wykonaniu organizacyjnym Mirka Dziewiałłowicza – gości kwiat ludowych artystów kraju w pierwszym tygodniu września – w tym roku już po raz drugi.

Zycie plenerowe stało się częścią obyczaju. Wielu instytucjom związanym z kulturą po prostu nie wypada nie urządzić pleneru. Imprez więc wiele, a ich uczestnicy – w znacznej mierze – ci sami. Jedni jeżdżą na wczasy, inni – nawiązać kontakty, jeszcze inni – nadrobić stracony w niezręcznym środowisku i nie sprzyjających warunkach czas. Czego szukają więc jeszcze tutaj, w Starym Siedlisku, w przepięknej okolicy, ale całkowicie na uboczu zainteresowań oficjalnych instytucji, możliwych mecenasów, hojnych sponsorów? Jak mówią – właśnie tego. Dobrze się czują ze sobą i jednak imponuje wszystkim ten pro-

sty fakt, że mogą się tu zjechać tylko dlatego, że jednemu z nich zachciało się urządzić takie spotkanie. Nie nazbyt często sztuka ludowa ma okazję zaprezentowania swojej bezinteresowności w takiej skali.

– Plenery powinien organizować ten, kto ma na to ochotę, a nie ten, kto musi, bo mu wyznaczono taki obowiązek służbowy – podsumowuje swoje nie najlepsze doświadczenia z innych tegorocznych imprez Cezary Kopik, rzeźbiarz z Garwolina. Był już w tym roku w Nowej Słupi, w Prabutach i w Wigrach, ma więc solidną skalę porównawczą. Tu – jak mówi – przyjeżdżają ludzie, którzy wiedzą, czego

chcą: chodzi im o pracę, o to, żeby coś zrobić, pozostawić po sobie konkretny ślad i pamięć w miejscowym środowisku, a nie o wakacyjne przeżycia w atmosferze luzu i bałaganu, który przekracza granice milej satysfakcji.

– U nas o kulturze to się tylko mówi i robi wielki szum, poczynając od ministerstwa i rządu, a kończąc na instytucjach w gminie – mówi Janusz Michniowski, poeta i animator ludowej kultury, zwany w środowisku „Dziadkiem”. – Im się wydaje, że jesteśmy amerykańskimi Indianami i powinniśmy zostać zamknięci w rezerwach, to wtedy będziemy mieli folklor. Ale jak do czego przyjdzie, okazuje się, że

nawet te rezerwy nie bardzo jest komu budować... Dlatego przyjeżdżamy tu, do Starego Siedliska, żeby być naprawdę u siebie, bo chcemy odciąć się od tego wszystkiego. I tutaj wreszcie widzimy, że jesteśmy potrzebni.

Danuta Miszczyk przyjechała z częścią kierowanego przez siebie zespołu folklorystycznego „Zaboracy”; wszystkim nie udało się załatwić zwolnień. Zespół reprezentuje folklor kaszubski, działa we wsi Czyczkowy na skraju Borów Tucholskich. To jedna z tych wsi, gdzie tradycje ludowych obrzędów, obyczajów i folkloru przechodzą w sposób naturalny z pokolenia na pokolenie, gdzie dom kultury





wybudowano w czynie społecznym, powiększając po cichu jego rozmiary wytyczone przez mierniczego. Byli na „Konfrontacjach” w Mielnie, gdzie spodobał się wszystkim i zawarli wiele przyjaźni: stąd właśnie to zaproszenie.

Zbigniew Błaszczyk, malarz nastrojowych pejzaży, pracuje... w Hucie „Katowice”. Działał w zakładowym klubie plastyków, ale doszedł do wniosku że tu, w gronie twórców ludowych, czuje się lepiej. Zdążył nawiązać już kontakty i przyjaźnie, dzięki nim trafił do Starego Siedliska.

Tą właśnie metodą – przez ludzi do ludzi – przyjechało ponad 30 osób, rzeźbiarzy, gawędziarzy ludowych, malarzy, muzyków, poetów. Mieszkają w namiotach ustawionych niedaleko szkoły przez hercerzy z hufca z pobliskiej gminy Młynary – to jeden z nielicznych pozytywnych przykładów współpracy instytucji z prywatną inicjatywą organizatorów pleneru – cierpliwie znoszą rześisty deszcz, rzeźbią, malują, uczestniczą w imponująco licznych spotkaniach z miejscową ludnością i młodzieżą w szkołach. I choć nie ma wśród nich nazwisk-magnatów, „artystów scen” i „gwiazd telewizji”, na spotkaniach tych – o dziwo! – sale są pełne, a publiczność nie bardzo chce pogodzić się z zakończeniem poszczególnych imprez. Po prostu, potrafią interesująco mówić o tym, co jest pasją ich życia, potrafią tą pasją zarażać innych.

– *Buty mokre, ale atmosfera gorąca* – podsumowuje wrażenia Jerzy Sowik z Bukowca Górnego, pracowicie wydobywając z drewnianego kłosa postać myśliwego z sarenką; ta rzeźba stanie prawdopodobnie przed jedną z leśniczówek w okolicy. Ogólnie obowiązuje zasada pracy społecznej: uczestnicy pleneru nie zabierają swo-

ich prac ze sobą do domów, część z nich trafi do siedziby GOK-u w Wilczętach, większe rzeźby zostaną ustawione w plenerze w pobliskim miasteczku Młynary. Urzędy gmin w tych miejscowościach wyraziły zresztą zainteresowanie plenerem fundując nagrody dla uczestników.

Instytucji sensu stricto kulturalnych plener jakby nie obchodził. Mają do tego właściwie pełne prawo; wszystko to wszak jest pomysłem i inicjatywą jednego człowieka, kultura zaś, jak uczy wieloletnie doświadczenie, rozwija się właśnie dzięki takim indywidualnym pasjom.

A może obawiają się konkurencji?

W każdym razie Scena Ludowa stała się – formalnie – współorganizatorem: obiecali załatwić dojazd uczestników z południa kraju i zapewnić wyżywienie wszystkich plenerowców. Skończyło się na obietnicach. Elbląski Ośrodek Kultury podstawił autokar, aby chętni mogli w nieco bardziej komfortowych warunkach przebyć ostatni odcinek drogi. Wszystko to byłoby może i w porządku, gdyby nie fakt, że organizacja pleneru wypełnia ogromną lukę na kulturalnej mapie okolicy, a przecież za powstanie tej luki ktoś jest odpowiedzialny.

A sprawca całego tego zamieszania, rzeźbiarz, owczarz i gospodarz na 40 hektarach, Mirek Dziewiałtowicz, na pytanie o cel, jaki przyświecał mu w organizacji tej wyjątkowej zupełnie imprezy, odpowiada po prostu, że chciał zaprosić tu do siebie przyjaciół-rzeźbiarzy, żeby wspólnie popracowali, pogadali, zrobili coś dla siebie i dla okolicy.

Bywał sam na rozmaitych plenerach, zorientował się, jak to mniej więcej powinno wyglądać, kogo warto zaprosić, na co można liczyć. Nie jest egoistą, więc pomyślał też o wsi, a na-

wet o sąsiednich wsiach. Dlatego właśnie przyjechały zespoły folklorystyczne, przyjechali z Wielkopolski dudziarze, by zaprezentować możliwości całkiem egzotycznego w miejscowym środowisku instrumentu, przyjechał sam Diabelski Hetman, największy w Polsce znawca i kolekcjoner tematu diabelskiego w folklorze – Wiktor Grąbczewski.

Poza nagrodami z funduszków urzędów gmin w Wilczętach i Młynarach oraz zwrotem kosztów przejazdu uczestników, koszty pleneru pokrył Dziewiałtowicz. Wychodzi widocznie z założenia, że demokracja zasła już tak daleko, że i chłop może stać się mecenasem, zwłaszcza że – jak na razie – chodzi tu o mecenat nad sztuką ludową.

A na co dzień... w Starym Siedlisku nie ma nawet klubu kultury. W świetlicy występował kiedyś kabaret, ale było to w czasach, kiedy Dziewiałtowicz miał 17 lat. Wstyd powiedzieć – całe 20 lat temu. Dzisiejsi 17-latkowie nie mają podobnie społecznych ambicji.

Gdy z okazji poprzedniego pleneru przyjechała telewizja, przedstawiciele „Ruchu” zobowiązali się otworzyć klub pod warunkiem, że zakratuje się okna świetlicy. Gdy okna zakratowano, pojawił się nowy warunek – doprowadzić wodę. Tymczasem większość mieszkańców Starego Siedliska dowozi wodę na swoje i gospodarskie potrzeby z odległej o 4 km Nowicy, a budowany od paru lat wodociąg skreślił nieoczekiwane w inną stronę... Tak więc z zaopatrzenia w wodę pozostał tylko deszcz, padający obficie na namioty plenerowców. Im to jakoś wystarcza, a co więcej – wcale nie przeszkadza...

**PAWEŁ
KWIATKOWSKI**